№ 38. Warszawa, dnia 19 (7) Września 1896 roku. Rok XXXVIII.




Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . . . . . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

## OD REDAKCYI.

*Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:*

*W Warszawie: kwartalnie rs. 1.*

*Na prowincyi z przesyłką pocztową:*

| | |
|---|---|
| *kwartalnie* | *rs. 1 kop. 25.* |
| *półrocznie* | *rs. 2 kop. 50.* |
| *rocznie* | *rs. 5.* |

*Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.*

**Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.**

***Za zmianę adresu kop. 15.***

---

*Antoni Miecznik.*

# OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Tylko? To mało. Na takie gospodarstwo o jakiem ja myślę, koni powinno być o sto więcej, a wołów i krów o dwieście sztuk. Będziemy mieli stadninę, będziemy hodowali woły, będziemy je sprzedawali nie miejscowym żydkom, ale za granicą, w Wiedniu.

Mówiąc to, spojrzał z ukosa na przebiegłego Rumuna, i dostrzegł na twarzy jego czerwonej, przelotny cień zdumienia; bawiło go to szczerze. Myślał sobie: jacy to ludzie zaśniedziali, nie rozumieją swoich korzyści, nie umieją nawet ciągnąć zysków z tego, z czego można i z czego się powinno mieć zyski. On przywykł z najdrobniejszej okoliczności korzystać, niczego nie pominął, co mu do tego posłużyć mogło. Ta zdolność wypatrywania wszędzie pożytku dla siebie jako kupcowi summy przynosiła mu codziennie.

— Tak, mój Paleju, my tu inaczej gospodarować musimy! Pojutrze kupi się konie i woły, ale nie na to, by marniały z głodu; o, nie — dodał gestykulując ręką, — owszem, konie się karmi ziarnem i sianem, a nie słomą, jak to wy robicie. U mnie trzoda i bydło musi oprócz kości i skóry mieć i mięso także.

Uśmiechnął się, spoglądając na surowe oblicze młodego Ormianina, który stał oparty o drzewo i zdawał się już w myśli obliczać sumę, jaką wypadnie wyłożyć na zaprowadzenie inwentarza, o którym pan wspominał.

— O, to domnule...

— Ruszaj ze swoim domnule, powiedziałem ci już tyle razy, że...

— A więc bojeru — poprawił się rządca, — będzie tu pierwszym w naszej Bessarabii przy takich nakładach.

— Tak, ja chcę być pierwszym. U mnie wszystko najlepiej iść musi. Ja, kupiec, pokażę wam, jak się gospodaruje: do góry nogami przewrócę wszystko, a postawię na swojem. Ty i tobie podobni musicie tak skakać, jak ja grać pocznę, a ze mnie muzykant znakomity!

Tigranes się uśmiechnął, znał Ohanę, wiedział więc, że zrobi to, co mówił.

Wydawszy jeszcze kilka dyspozycyi rządcy, zakończył z nim rozmowę temi słowy:

— Dosyć już na dziś! Pojutrze ma się zacząć siew, za trzy dni inwentarz ma być nowy. A teraz zawołaj mi tych żydów, co przyszli z interesami.

Palej odszedł, zostawiając Ohanę z sekretarzem:

— Widzisz, Tigranes — zaczął, — jacy tu złodzieje gospodarowali w kieszeni tego głupca Sabescu.

— Widzę, ale nam tak gospodarować nie będą!

— Jabym sobie bez ciebie rady nie dał; jedna głowa za mało na początek. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Rozumiem.

— Tego Mołdawianina na sekundę z oczu nie spuszczaj! Chociaż złodziej, odrazu to poznałem, ruszać go nie należy, za mądry, może się przydać; my i ze złodziejami sprytnymi damy sobie radę, i z nich potrafimy skorzystać.

— Tak, panie, poznałem i ja tego człowieka.

— Dalej, zboże w stertach, w workach będzie w twoim ręku; ani jedno ziarno gdzieś tam w kącie przepaść nie powinno. Wszelkie wypłaty, rachunki również do ciebie należą. Ale czy ty te-

mu dasz radę? — spytał po chwili i spojrzał Zacharyaszowi w oczy.

— Ja? Ja ze wszystkiem sobie poradzę, tylko się wyuczę tego ich obrzydłego języka. Bez tego ani rusz..

I zaczęli w dalszym ciągu rozprawiać o zmianie trybu gospodarki, o wynalezieniu lepszego zbytu na zboże, o ekonomach, klucznikach, z których każdy spodziewał się okradać nowego pana na Nikoresztach, podobnie jak i starego.

Dwaj ci ludzie doskonale pojmowali sytuacyę, ale byli pewni, że dzięki połączonej działalności swojej zdołają opanować wkrótce całą machinę dużego majątku.

Tymczasem nadeszli Żydzi z Mohilowa. Załatwiwszy się z nimi, podobnie jak i z budowniczym przybyłym z Odessy, Ohana udał się z Tigranesem na śniadanie, które razem jadali zwykle, gwarząc przy stole w dalszym ciągu o interesach.

Ohana chciał i tu, w gospodarstwie równie jak w handlu rozwinąć obszerną działalność. Był dumny z siebie i ze swojej energii, bo widział, że wszystko się przed nim uginało, wszystko ulegało jego wpływowi. Przypuszczał, że o nowych rządach w Nikoresztach dowiedzą się znajomi dawni i nowi, że zaczną go podziwiać i chwalić, wiedział o tem i zadawalniało go to. Nie tyle mu chodziło naprawdę o podziw w jaki wprawi Domaszkanów, Antonowiczów, Domianowiczów lub Goradców. Ci mało go obchodzili; on pragnął się pokazać nie przed nimi, ale przed nią, tą ukochaną od lat tylu. Mimowoli, bez obmyślonego planu, bez celu nawet wyraźnego, czynił wiele, by im, tym stepowym obywatelom zaimponować, gdyż był pewnym, że całe zdumienie, cała ciekawość, całe uznanie jakiem go i opinia obywatelska otoczy, obije się o jej uszy, i przeniknie do serca.

Po pierwszem spotkaniu się z nią, po pierwszem widzeniu jej, nie myślał, by mógł się nanowo tak silnie rozżarzyć ten ogień, który czuł niegdyś. Niepostrzeżenie dawne, minione wspomnienia ożyły, nabrały siły, potęgi i owiały go swym żarem.

Czuł, że ją kocha jak dawniej, może więcej, bo zmysły i myśli jego, przywykłe do swobody nieograniczonej, na samą wzmiankę niewoli burzyły się i buntowały. A ona była w niewoli, widział ją związaną, skutą tysiącznymi kajdanami uczucia i tradycyi. Miała męża, do którego się przywiązała, którego może kochała nawet, w co jednak nie wierzył, miała dziecko, które jej droższem było niźli wszystko na świecie. A dopiero po za tem przeczuwał dla siebie miejsce jakieś w dawnych wspomnieniach, zaledwie dzisiaj tlejących.

Kiedy wracał z Teleszówki, a bywał tam często, stawał się naprzemian to smutnym, to znowu wesołym. Smutnym był, kiedy myślał, że ona jego być nie może, choć się dusza do niej rwała a zmysły gwałtownie burzyły spokój ducha. Błogość ogarniała go wówczas, gdy usiadłszy sobie w Nikoreskim parku marzył o jej wiecznie cudnych oczach czarnych, w których tyle niegdyś się przebijało miłości i dobroci dla niego, o włosach kruczych z odcieniem niemal fioletowym, o tych ruchach żywych a takich harmonijnych. A jednak po co on jej, tej Helci umiłowanej, spokój zamącił swem pojawieniem się w tych stronach; po co on mimowoli stara się wciągnąć ją w ten odmęt sprzeczności, który się musi wywiązać? Bo widział, że młoda kobieta stawała się wobec niego inną, zupełnie inną; znać było na jej twarzy radość, a każde zdanie jego powiedziane tym znanym jej tonem gwałtownym, nagłym, namiętnym odbijało się w jej duszy silnem przeciągłem echem. I w rozrzewnionem sercu jego rodziło się uczucie, które radziło mu zostawić ją i siebie w pokoju, nie dać się ogarnąć płomieniowi, który może im obojgu dusze przepalić. Ale niebawem myśli te opuszczały go a zmysły pociągały ku niej i tylko ku niej.

I żył w tem uczuciu, nie zastanawiając się nad niem ani nad skutkami, jakie sprowadzić może. Kiedy ją widział, rozmawiał z nią, patrzył jej w oczy, czuł się prawie szczęśliwy. Nie pomijał też żadnej okazyi spotkania jej gdziekolwiek. Dzisiaj właśnie przepełniony był dziwną błogością; jakaś wesołość nadzwyczajna nim owładła.

Miał jechać do Wysokiej i zastać tam ją.

Do Wysokiej! myślał i serce mu biło, ściskało się z radości a razem ze smutku. Ta Helcia szczupła, z puszczonym wolno warkoczem na szyję łabędzią, z inteligencyą rozlaną na czole kształtnem, istniała już tylko we wspomnieniach. Lata, życie bezbarwne przemieniły ją w kobietę, której marzenia rozwiały się dawno. To też tamtę młodziutką, ośmnastoletnią panienkę kochał, a tę kobietę dojrzałą miłować zaczynał dopiero.

Obok tej błogości, jakiej doświadczał na samą myśl zetknięcia się z nią w Wysokiej, zarzył mu się w duszy płomyk ciekawości. Jak też ona wyglądać będzie na tem samem tle, co lat temu dziesięć. On jest inny, ona inna, los ich uczynił takimi, ale otoczenie, ale przyroda niezmienna pozostały zawsze te same.

Przez całą drogę, a jechał przeszło dwie dobre godziny, ani na chwilę go myśl owa, jaką też ona w Wysokiej się okaże, nie opuszczała. Starał się uczuciom swoim dać inne ujście, chciał je skierować w inną stronę, wreszcie uporządkować je, tak go denerwowała ta nie pewność cała. Napróżno; oczekiwanie dawało mu dreszcz jakiś czy obawę, wprawiało w stan podniecenia cały system nerwowy.

Kiedy na wzgórku wzrok jego pochwycił ciemniejącą pod lasem plamę, która stopniowo rozszerzając się, zajmowała coraz to większą przestrzeń, już tylko jedno pragnienie w nim żyło: byle prędzej, byle bliżej! Powoli w blasku słońca chylącego się ku zachodowi wyłaniała się migając niepewnie, blachą cynkową pokryta kopuła cerkiewki wysockiej, a na jej szczycie jak promienna gwiazda palił się krzyż złocony.

W gęstwie drzew przeglądać się już poczynało coraz to więcej białych chat ze słomianemi strzechami, podobnemi do jakichś nieforemnych kapeluszy olbrzymich.

Wioska rosła, zarysowywała się coraz wyraźniej, aż wreszcie stanęła mu przed oczami cała, cicha, spokojna, taka jak niegdyś. Ludzi widać nie było, tylko kilkoro dzieci bawiło się na małym majdanie, obrzucając się wzajemnie błotem. Za wsią, w odległości jakich dwóch wiorst leżała odaja Wysocka, ukryta w parowie, który się ciągnął aż do trzech stawów, zarosłych sitowiem i trzciną.

Ohana zdawał się wchłaniać w siebie ten krajobraz, ku któremu się zbliżał. Dla niego tu wszystko żyło odmiennem życiem; przecież każdą piędź ziemi schodził on tutaj własnemi stopami, znał położenie każdego prawie budynku, kontury jego. Chociaż to już po raz drugi od czasu swego osiedlenia się w Nikoresztach przyjeżdżał do Bohdanowiczów, wrażenia jednak doznał silnego, na chwilę zapomniawszy, że jest sam panem, magnatem prawie, wyobraził sobie naraz, że całe te lat dziesięć tułaczki, przygód, pracy, były złudzeniem... Wjeżdżając na dziedziniec odaji żył jeszcze marzeniem lat dawnych.

Przez chwilę patrząc na osuniętą ku ziemi oficynkę, obleciałą z tynku, z pomalowanemi na żółto oddrzwiami, w podbudzonej wyobraźni przesunęła mu się własna jego dola młodzieńcza. Zobaczył się znowu pisarczykiem, wracającym z Mohilowa z kontraktami żydowskimi, które już pod koniec praktyki u Bohdanowicza sam redagował. Na dziedzińcu oczekiwała na niego Helcia i witała wesołem: „Dobry wieczór," poczem następowało właściwe powitanie: on zdejmował z głowy kapelusik czarny, a ona odpowiadała na ukłon metalicznym trylem młodego śmiechu. Szczęśliwe były to chwile.

Teraz na podwórku nie zastał Helci, chociaż wszystko było po dawnemu. Nie wiele budynków przybyło, bo pan Kajetan mając na względzie ciężkie czasy, jak mógł, tak ograniczał wydatki. Spichrze, stodoły popodpierane drewnianymi dylami chyliły się do upadku. Dwór, stojący pośrodku trzymał się jeszcze jako tako, dzięki przeszłorocznej sumiennej odnowie, do której zmusił ojca Stefan, nie chcąc, jak mówił, gnieździć się razem z sowami i puchaczami.

Wysiadając z powozu przed samym gankiem, Ohana drgnął: w jednem z okien mignęła mu śniada twarz Szymonowiczowej. Snać go dojrzała pierwsza, bo lokaj nie zauważył jego przybycia. Obudził się z marzenia; to spojrzenie młodej kobiety przywróciło mu na nowo równowagę; otrząsnął się z wrażeń, pod wpływem których zostawał w czasie drogi, i przybrał zwykły wyraz twarzy, szyderczy, zimny.

W sali zastał już pana Kajetana, panią Kajetanową, Szymonowiczów, starego Domaszkana i zięcia jego młodego Antoniewicza z żoną i siostrą. Przywitawszy się kolejno ze wszystkimi, usiadł sobie obok pana Kajetana w fotelu, naprzeciwko Heleny, która ukradkiem, niepostrzeżenie słała ku niemu błyski swych oczu czarnych. Na obliczu młodej kobiety dostrzegł pewną zmianę, jakby lekki rumieniec powstały skutkiem wzruszenia, czy też zakłopotania. Był pewnym, że to on wywołał ów rumieniec i owo zakłopotanie przez swe zjawienie się, w tych miejscach, gdzie na każdym kroku łączyła ich z sobą nić wspólnie przeżytych w latach młodzieńczych wrażeń. Spojrzał na nią, i wzrok jego odbił się w jej długiem, głębokiem spojrzeniu, które zdawało się mówić: tu żyliśmy życiem słodkiem, rozkosznem, niepowrotnie straconem. Cały świat dawnych marzeń młodzieńczych, zdali się przeżywać jednocześnie, w tem spojrzeniu. Trwało to jedną minutę, może sekundę nawet, a jednak zdołało nadać życie wspomnieniom.

— Myśmy już po herbacie, przed chwilą wstaliśmy od stołu,—zwróciła się pani Kajetanowa do gościa - dla pana kazałam przynieść.

— Dziękuję pani serdecznie za herbatę — odrzekł — nigdy jej nie pijam.

— Jakto? Przecież pamiętam, pan kiedyś tak lubił ten napój — zawołała ze zdziwieniem staruszka.

— Istotnie, dawniej lubiłem, ale gusta się zmieniają, a od czasu kiedy przepadałem za herbatą upłynęło sporo lat.

— Gusta się zmieniają! — Wtrąciła Szymonowiczowa, udając swobodę w głosie, — słusznie pan powiedział.

I urwała. Ohana z wyrzutem spojrzał na nią, ale nic nie powiedział, bał się, by jakie drażliwe słówko nie wymknęło mu się z ust. Mimowoli starał się być ostrożnym, bo myślał, że oczy wszystkich na niego są zwrócone, że wszyscy pamiętają stosunek, który wiązał go z córką Bohdanowicza.

To też był wielce zadowolony, kiedy po herbacie gospodyni zaproponowała spacer po ogrodzie, którego zieleniejące trawniki pomiędzy czarnemi grządkami i rabatami posianych kwiatów, widać było przez okno.

Pan Kajetan wziąwszy Szymonowicza pod jedną rękę a Domaszkana pod drugą, prowadził ich do stajni, chciał im pokazać jakiegoś nowego konia, którego mu Stefan kupił na jarmarku w Jarmulińcach. Zapraszał i Ohanę, ale ten zręcznie się wymówił.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---




*16 Września 1896 roku.*

Z powodu trwającej dotąd ciepłej pory, magazyny paryzkie ociągają się do końca Września z wystawą jesiennych i zimowych towarów. Znać nie chcą, aby publiczność oswoiła się przedwcześnie z ich widokiem, dlatego trzymają je w ukryciu, póki ostre zimna nie zmuszą Paryżanek do opatrzenia się w ciepłe kostyumy i okrywki. Dzięki uprzejmości pani Petit, mamy jednak przed sobą setki nowych wełnianych próbek, tylko co nadesłanych przez fabrykantów do jej wytwornej pracowni przy ulicy St. Lazare numer 77. Rozmaitość tych próbek bardzo wielka, przemagają w nich wyroby na pozór grube lecz miękkie i układne.

Kolory ciemne, nieokreślone, przyjęte będą na zimowe ubrania. Uważamy w nich szczególniej kolor zielony, wpadający w odcień granatowy lub mchowy *vert mousse.* Modne zarówno kolory: tabaczkowy (*hawanna*), rodzenkowy (*raisin de Corinthe*), dziko popielaty, czekoladowy, nie licząc już czarnego. Wiele widać tkanin mienionych w dwóch odcieniach jednego koloru, wiele marmurków przerabianych niekiedy złotą, srebrną albo stalową nitką, lub ożywionych jasnym jedwabiem.

Do najoryginalniejszych należy szewiot ciemny w rzut z pałeczek jedwabnych, długich na dwa cale, dawanych na przemian w odstępach. Pałeczki jasno popielate na tle stalowem, złotawe na tle tabaczkowem lub myrtowem ożywiają ciemną tkaninę.

Inną nieznaną dotąd nowością jest wyrób zwany *notté*, jakby pleciony w wypukłą kostkę. Niekiedy ta kostka obwiedziona nitką metalową, błyszczącą z pomiędzy wełny drobnemi punkcikami.

Zwrócił uwagę naszą bardzo ładny wigoń w ciemnych kolorach, szczególniej popielatym i wydrowym, wypuszczony z wierzchu cieniuchny włos białawy, nadaje mu pozór lekkiego futerka.

Gruba kanwa tak używana w tym roku na letnie ubrania, przypadła jak widać do smaku Paryżankom; zamieniono ją teraz na zimową. Z przezroczystej stała się grubszą jeszcze i całkiem ścisłą.

Widzimy ją w rozmaitych kolorach, to gładką, to znów przerabianą w paski jedwabne, lub rzucik cokolwiek jaśniejszy, niekiedy pomięszany z nitką złotą i srebrną.

Do strojniejszych tkanin wełnianych należy ryps w poprzeczne prążki, zwany *épinglé damassé*, przerabiany jedwabiem tegoż koloru w wypukły deseń. Na jednych deseń ten ułożony z drobnych punkcików, na innych wygląda jakby aplikacya z materyi jedwabnej.

Na suknie wizytowe i do teatru, widzimy bardzo cienki kaszmir w różnych, tak jasnych jak ciemnych kolorach, haftowany jedwabiem w drobny rzucik.

Modny też pekin wełniany w podłużne paski bardzo wypukłe, jakby karbowany w drobne rurki.

Oprócz powyżej opisanych tkanin, przygotowano mnóstwo gładkich, jak szewiot, wigoń, serża i cienkie sukno. Te gładkie wyroby, mięszać się będą z przerabianemi w wielki deseń.

W kroju sukien, nie zaszła dotąd ważna zmiana. Spódnice zawsze płaskie w górze, rozniesiste u dołu, staniki otwarte z szerokiemi wyłogami.

Rękawy jeśli straciły potworne rozmiary, zawsze jednak rzęsisto nagarnirowane u ramienia to buffą, to wolantem, ztąd też rotonda zwana *collet*, główną stanowi okrywkę. Na ulicę przyjęte zarówno żakiety średniej długości.

Widzieliśmy u pani Petit, dwie świeżo wykonane rotondy z czarnego i ciemno zielonego sukna; różnią się tem od dawnych, że w górze przytwierdzone do karczka. Zielona objęta wkoło trzy razy rulonikiem sukiennym; w miejscu, gdzie łączy się z karczkiem, wybiega na plecy płaski kapturek przybrany rulonem i guzikami, z przodu idzie szerokie wyłożenie. W górę od karczka podniesiony wysoki kołnierz *medicis*, zachodzi na uszy; na przodzie zaokrągla się i odwija Do tego spódnica z takiegoż sukna tworzy piękny kostyum jesienny.

Czarna rotonda, przybrana do koła pletnią jedwabną w słupki, oryginalniej jeszcze wygląda. Wykrój u niej wielki na plecach i ramionach, przody szeroko się rozchodzą. Karczek z tkaniny czarnej *velours frisé*, w wypukły deseń, przedłużony z przodu, tworzy kamizelkę tak długą jak rotunda. W górę od karczka podniesiony wielki kołnierz *medicis.* Na wykroju szerokie wyłożenie, przecinane w odstępach, objęte pasmanteryą. Podbicie z czarnego atłasu.

A teraz, dajmy opis dwóch bardzo ładnych żakietek z pracowni pani Petit.

Jedna średniej długości, z sukna koloru *hawanna.* Plecy i boki wcięte do stanu, z baskiną ułożoną w trzy wielkie kontrafałdy. Przody prosto puszczone schodzą się u szyi. Na piersiach odwinięte czworograniaste klapy, skrzyżowane do lewego boku, objęte rulonem sukiennym. Poniżej tych klap naszyta z obu stron pasmanterya, sięga do samego dołu żakietki. Rękawy bufiaste w górze, wązkie od łokcia, zakończone u ręki pasmanteryą.

Druga żakietka także krótka z ciepłej tkaniny szarej, w czarny deseń tworzący wypukły wermiszel. Plecy wcięte z baskiną, przody również obcisłe, spięte z lewego boku. Od ramienia na spięciu, wykrojone trzy okrągłe zęby, objęte czarnym sznurem. Wkoło żakietki idzie wązki pas marabutu z czarnej szneli. Rękawy ułożone od ramienia w rozniesisty wachlarz, poniżej całkiem wązkie.

Bluzki odmienne od spódnic dotychczas używane Trudno paniom tutejszym rozstać się z tą wygodną, choć zbyt upowszechnioną modą. Dla odróżnienia od pospolitych, noszą je z aksamitu lub materyi, zdobią wstążkami i koronką. Coraz to bardziej jednak zaczyna zastępować te bluzki hiszpańskie *bolero.* Wpadło nam w oko bardzo ładne, czarne aksamitne, przybrane z przodu po każdej stronie trzema poprzecznemi klapkami z białego sukienka, te klapki przytwierdzone czarnemi guzikami.

Inne znów *bolero* białe sukienne, szamerowane czarnym sutaszem, z przodu rozchodzi się zupełnie. Wykrój pokrywa bardzo szeroka szarfa a raczej szalik biały muszlinowy, haftowany u dołu, sięgający do kolan, przepięty na piersiach klapką sukienną. U szyi rozniesista kokarda muszlinowa składa się z czterech pukli. Rękawy nie szerokie, z takiego sukienka jak bolero, naszytego sutaszem.

*Seweryna Duchińska.*

---

# Najnowsza ankieta.

Skoro sądzono nam żyć w epoce, która dosyć surowo obchodzi się z dawnym obyczajem, starym regulaminem przyjętym w rodzinie i ze wszystkimi wogóle zwyczajami i obrzędami starego świata, nie powinno nas dziwić, gdy chciwa reformy społeczność dzisiejsza, bada, rozstrząsa, krytykuje — gdy usiłuje poprawiać i doskonalić, a choćby tylko dawne zamienić na nowe, jak to w przeważnej liczbie wypadków ma miejsce.

Jednym z powszechnie używanych dzisiaj sposobów zbadania opinii są kwestyonaryusze. Dostarczane odpowiedzi dawać mają niby wierny obraz, zapatrywań i sądów — coś w rodzaju „vox populi”— głosowania powszechnego, czy jak tam wreszcie zechce sobie kto nazwać ten rodzaj plebiscytu.

Nie wchodząc w to, czy istotnie otrzymujemy tą drogą kwintessencyą jakąś mniemań powszechnych lub nie, powiedzmy słów kilka o najnowszym z kwestyonaryuszów ogłoszonym przez angielskie czasopismo „Daily telegraph.”

Przedewszystkiem przyznaje ten dziennik, że materya poruszana przez ankietę nie jest nową, że już raz podejmowała ją gazeta „Daily-News” w czasie kiedy na czele jej redakcyi stał Karol Dickens, ale że temat należy do popularnych— żywo obchodzących ogół, a nie rozstrzygniętych bynajmniej dotąd w duchu postępu, więc uznano za konieczne poddać go pod głosowanie powtórnie. Jakoż rozpisano zapytania, pismo wezwało do odpowiedzi świat męzki i niewieści bez względu na wiek stan i narodowość.

Powiedzmyż o co chodzi. Idzie o zaręczyny i małżeństwo, a zatem o jedno z najżywotniejszych zagadnień społecznych. Pytań jest kilka, a mianowicie:

Czy zaręczyny powinny trwać krótko czy długo? Czy dane słowo może być zwrócone lub nie? Czego potrzeba, aby osiągnąć szczęśliwość małżeńską?

Od 15 Sierpnia poczynając, dwie przynajmniej kolumny poświęca codziennie gazeta ogłaszaniu nadchodzących odpowiedzi, a czy te ostatnie rzucają jakie nowe światło na kwestyą samą, czy ją rozwiązują w duchu epoki, będą mogły czytelniczki osądzić z kilku próbek, które uznane zostały jako charakterystyczne.

Oto na przykład młoda, wedle tego przynajmniej jak zapewnia sama, ale bogata dosyć w doświadczenie osoba niezamężna, w tych słowach wyraża swoje zapatrywania na wątpliwości poruszane przez „Daily telegraph."

„Aby zapobiedz wielu nieporozumieniom między ludźmi mającemi się pobrać w blizkiej przyszłości, koniecznem jest przedłużenie okresu zaręczynowego. Przeciwnikami naturalnymi będą tutaj zawsze rodzice narzeczonej, ze względu, że taki stan rzeczy psuje ład domowy, opóźnia obiady — jednem słowem dezorganizuje i wywraca do góry nogami cały tryb życia. Rodzice są zawsze stronnikami zaręczyn krótkich, podczas gdy narzeczeni sami, z wyjątkiem pewnych wypadków szczególnych, radziby te rozkoszną epokę przeciągnąć jak najdłużej. Ta faza zabiegów i starań, przechadzek uroczych we dwoje, to wzajemne uwielbianie się w ciszy i spokoju — to odczuwanie wdzięków przyrody, wszystko to są rozkosze, których daremnie oczekujemy od pożycia małżeńskiego. Nie wszystkie zresztą kobiety są dziewicami Orleańskiemi lub pięknemi Helenami, trzeba przecież zrozumieć, że jest pewna część prozaicznych, obdarzonych wyobraźnią chorobliwą, albo zachciankami przechodniemi.

Tu robi autorka najniespodziewańszy zwrot do wychowania mięszanego, które zdaniem jej najlepiej przygotowuje kobietę do życia, i daje jej w dzieciństwie już przedsmak szczęśliwości, której będzie korzystać kiedyś jako narzeczona.

Jak widzimy, jest to odpowiedź reformatorki w wychowaniu, która nie mogła pominąć sposobności przejechania się na ulubionym koniku kobiet dzisiejszych w Anglii. Mógł jej był ktoś co prawda odpowiedzieć, że trochę zawczasu przygotowuje kobietę do tych rozkoszy, i że tym właśnie sposobem gotowa popsuć zupełnie swoją idyllę, ale że nie ma zwyczaju dawać repliki na odpowiedzi kwestyonaryusza, więc tym razem została przy swojem.

Miss Florencya Marryat, córka znakomitego autora powieści morskich, także emancypantka przekonaniami, radzi przedłużać ile się da, epokę poprzedzającą małżeństwo. Zupełnie jak jej poprzedniczka, rozumie tylko kobietę przygotowaną do stanu małżeńskiego przez wychowanie mięszane, a co do samej kwestyi daje siostrom swoim radę, żeby jak najdłużej starały się pozostawać narzeczonemi, albowiem tym sposobem tylko mogą przypatrywać się przyszłemu mężowi w stosunkach z innemi kobietami. Zachowanie się mężczyzny z narzeczoną, zdaniem miss Marryat, niczego kobiety nauczyć nie może o jej losie jako żony.

Inna — mężatka jakaś, wychodzi z zasady, że mało która kobieta rozumie siebie przed 22 rokiem życia, a żaden mężczyzna nie wie jakim będzie mężem przed zupełną dojrzałością swoją, co zdaniem tej pani przypada mniej więcej w lat 28, licząc od urodzenia. Co do niej poszła ona za mąż mając lat 28, a narzeczoną była przez lat pięć. Obecnie ma już 56 lat i z pociechą przypomina sobie, iż miała dużo szczęścia do mężczyzn, i że flirtowała bardzo wiele.

Oryginalna pociecha na stare lata co prawda, a nie mówi też ta pani czy jest matką, bo i tego byliby ciekawi czytelnicy.

Jakaś sześćdziesięcioletnia staruszka, pessymistka jak widać i ostrożna wielce, gwałtownie powstaje przeciwko pozostawieniu młodych ludzi na długi czas w takiej niezdecydowanej pozycyi. Powiada, że to sprowadza tylko gorzkie rozczarowania jednej i drugiej stronie. Wogóle do małżeństwa radzi się zabierać tak jak do zimnej kąpieli: głową na dół, a bez długich preludyów. Wychodźcie za mąż jak można najprędzej, a starajcie się na męża wybierać człowieka seryo.

Młody człowiek, który właśnie jest w fazie tych wzruszeń przedmałżeńskich, taką daje opinię o stanie ducha własnego: „Jestem narzeczonym od dwóch lat i ani na jedną chwilę nie przestałem doświadczać niezamąconego szczęścia, wyznaję jednak, że jutro poprowadziłbym moją narzeczoną do ołtarza, gdybym dzisiaj uregulować mógł moje stosunki na tyle przynajmniej, iżby mi nie sprawiało kłopotu spotykanie się oko w oko z moim krawcem."

Wszystkie dzienniki angielskie przedrukowywują z „Daily telegraph" odpowiedź podpisaną nazwiskiem: Louise de Lignerolles. Jak widzimy jest to Francuzka, w dodatku bas-bleu, która wedle opinii dzienników, rzuca dosyć decydujące rozwiązanie tego, czego kobiecie po karyerze małżeńskiej oczekiwać wolno. O ile to jest prawdą, osądzą czytelniczki z własnych słów pani Lignerolles.

„Jako Francuzka wychowana w Anglii, chciałabym dać poznać opinią moją co do stanowiska kobiety jako narzeczonej i małżonki nb. z punktu zapatrywania francuzkiego.

Anglią znam dobrze, pojmuję zupełnie obyczaje tego narodu, jego sympatye i antypatye, i na wstępie wyznaję mój szacunek dla tego kraju wolnego, jakkolwiek podzielam w pewnej mierze zdanie Voltaire'a, który utrzymywał, że Anglia ma za mało sosów, a za wiele rozmaitych religij. Otóż przekonana jestem przedewszystkiem, że gdybym się była urodziła Angielką, nigdy nie zostałabym kobietą tak zupełnie szczęśliwą, jak jestem dzisiaj. Byłabym zawarła z pewnością jakieś tak zwane małżeństwo z miłości, i zmuszona byłabym rachować się przez życie całe z szansami, zręcznością albo powodzeniem mojego męża. Jednem słowem, patrzyłabym zawsze w jakąś zagadkową przyszłość i dźwigała wszystkie trudy i brzemiona, jakie daje życie w takim składzie rzeczy.

Kształciłam się w Anglii, czytałam dużo w języku angielskim, a ulubionym moim autorem jest Bacon. Jestem bas-bleu, ale nie fin de siècle. Kocham zresztą obowiązek rodzinny i nie bujam w eterze.

„Zanim mię rodzice wysłali do Anglii dla dokończenia nauk, pozostawałam na pensyi w klasztorze „les Oiseaux." Mój ojciec, filolog, potrzebował pomocnika w swoim zawodzie i powziął myśl zrobienia sobie tego pomocnika ze mnie. Dzięki wpływom matki zrzygnował jednak z tej idei.

„Po powrocie z Anglii przepędziłam rok cały w naszym zamku na prowincyi, gdzie bywało stale kilku panów wiekowych, z których każdego uważali rodzice jako partyę zupełnie dla mnie odpowiednią. Ale ponieważ między tymi panami znalazł się i ktoś zupełnie odmienny, a tym człowiekiem był bardzo piękny oficer kawaleryi, więc nie należy się dziwić, że w tym właśnie zakochałam się, jak to mówią, na śmierć.

„Był równie pięknym jak ubogim, a matka moja zrobiwszy wprędce to spostrzeżenie odezwała się do mnie: Ależ on jest biedny zupełnie! Nieszczęśliwe dziecko! nie możesz nawet rozmową kompromitować się z podobnem indywiduum.

„Nie bardzo skutkowało to pierwsze przełożenie, więc ojciec wywiózł mię bez zwłoki do Paryża i tam już na miejscu oznajmił mi, że ślub mój odbędzie się za 6 tygodni. Z kim? — nie wiedziałam zupełnie.

„Rozpacz moja powiększyła się, gdy mi oznajmiono, że mężem moim ma być pan de Lignerolles, podtatusiały przemysłowiec, którego znałam dobrze, ale którego unikałam najstaranniej. Bez wykształcenia, minę miał pospolitą, obejście gburowate i odpychające. Nie pojmował zupełnie muzyki, nie przewracał mi nut, jak mój dragon uwielbiany—nienawidził wszystkich w czambuł wziętych poetów i romansopisarzy, nazywając ich bez ceremonii głupimi pismakami, a natomiast z upodobaniem popisywał się przedemną pięknymi kominkami, które wyrabiała jego fabryka. Okropnym wydawał mi się ten człowiek.

„Tymczasem po sześciu tygodniach spełniło się to małżeństwo, które ja nazywałam potwornem wtedy... a dziś?... Dzisiaj jestem najszczęśliwszą kobietą w chrześciaństwie, mój mąż jest bogaty, szanowany, potężny, ja otoczona jestem zbytkiem, a przed naszemi dziećmi przyszłość świetna. Nie byłoby tego wszystkiego z pewnością, gdybym była została żoną dragona; jego pensya wraz z moim posagiem nie byłaby zapewniła ani komfortu dla mnie, ani karyery dla dzieci.

„A widziałam też i tego mojego dragona w tych czasach. Spospoliciał, podstarzał się, utył, a mój mąż jakkolwiek stary, jest silny jak Li-Hung-Czang i pożyje jeszcze zapewne długie lata.

„U nas we Francyi, jak widzicie nie przedłuża się epoki zaręczynowej, bo też niewątpliwem jest, że w małżeństwie, które nie ma innych rękojmi pomyślności, jak wzajemne przywiązanie, uczucie gaśnie — uwielbienia ustają — miłość zamiera. U nas małżeństwo traktują seryo, a wszystko co jest seryo, musi być koniecznie traktowanem jako interes."

Oto macie czytelniczki próbki zapatrywań najrozmaitszych. Budujących, ani nowych uwag i spostrzeżeń nie widać między odpowiedziami na kwestyonaryusz „Daily telegraph." A jeśli idzie o ten cyniczny dokument ostatni, to i ten do nowości zaliczonym być nie może. Cynizm to także stare straszydło.

*T. M.*

*Klemens Junosza*

# CURICULUM VITAE.

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA).

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Mówią, że każdy człowiek ma do czegoś szczęście. To prawda, ja na przykład mam osobliwe szczęście do... nieszczęścia.

W najwcześniejszem zaraniu życia, bo jeszcze w niemowlęctwie, zostałem przez nieostrożną niańkę wyrzucony z kołyski i na skutek tego, mam nos cokolwieczek krzywy. Później jako mały urwis, w epoce tak zwanego przez pedagogów wychowania przedszkolnego, miałem nadzwyczajne szczęście do zdobywania guzów, siniaków, podrapań. Ktoby zliczył ile razy poturbowali mnie towarzysze, kopnął koń, ugryzł pies ile razy spadłem z drzewa, rozbiłem się na ślizgawce, ile razy wpadłem w rów pełen wody rozdarłem ubranie na płocie.

Nie były to nieszczęścia wielkie, ale dotkliwe, tembardziej, że pociągały za sobą opłakane skutki, matka bowiem moja, w takich zdarzeniach gorliwie wykonywała radę Ducha Ś-go, a że rodzinny nasz mająteczek obfitował w piaski, na których wybornie rosła brzezina, więc... szczerze mówiąc, czułem antypatyę do tego rodzaju drzew i gdy kto w mojej obecności wychwalał piękność brzozy płaczącej, młodociana dusza oburzała się we mnie. Miałem ochotę przerwać te zachwyty i zawołać na cały głos:

— To fałsz, nie ona jest płacząca ale ja!... ja!

Nie zrobiłem tego jednak nigdy, gdyż w domu u nas panował wielki rygor.

W dalszym ciągu mego żywota, kiedy oddano mnie do szkół, miałem szalone szczęście do tak zwanych „pałek," do dwójek, do siadywania w kozie, do przebywania dwóch lat w jednej i tej samej klasie, ale jakoś wytrzymało się i to.

Później ojciec umarł, matka bardzo podupadła na zdrowiu, a że byłem jedynakiem, więc musiałem objąć majątek i osiąść na tak zwanych swoich śmieciach.

Usiadłem tedy.

Biedota to była owa nasza fortuna, za mała na folwark, za duża na kolonię, coś pośredniego, ot tak sobie. Dziesięć włók całej obrady, w tem połowa piasku, trochę łąki i trochę lasu, głównie sośniny i brzeziny. Tyle tylko że ta bieda znajdowała się niedaleko miasta, więc można było mieć jaki taki dochód za nowalie, za drób, za nabiał, bo oczywista rzecz, że się pszenicy wagonami nie sprzedawało.

Trzeba przyznać, że matka moja słynęła jako znakomita gospodyni, więc gdy, jako się rzekło, podupadła na zdrowiu i nie mogła po całych dniach dreptać, ja stałem się wykonawcą jej zleceń i przy tej okazyi poznawałem tajemnice jej sztuki i powodzenia.

Przekonałem się, że nie jest złą rzeczą umieć coś porządnie, i nie dla czczej chwały, ale z całą prawdą sumiennie powiedzieć to mogę, że umiem obchodzić się z nabiałem, tuczyć gęsi i indyki, że znam upodobanie mieszczuchów i wiem co, kiedy, na jaki czas przysposobić. Na targu, przed świętami wielkanocnemi dobijają się o moje prosięta, indyki i wędliny; masło, sery przepyszne.

Ja najwcześniej dostarczam rzodkiewkę, sałatę, szparagi, kurczęta, młode kartofie, kaczki; pamiętam o sądnym dniu i mam koguty dla żydów, a przed dniem świętego Marcina przywożę na targ mnóstwo okazałych gęsi. Niby nie ja sam, bo mam przecież służbę, ale że pańskie oko konia tuczy, więc bywam przy tem, i pieniądze od kupujących odbieram.

Matka chwali mnie i mówi, że mam do gospodarstwa szczęście, ja zaś nie chcąc martwić poczciwej kobiety, kiwam głową, że niby tak jest, ale w duszy myślę sobie:

— Oj, nie, matusiu, nie, ja tylko do nieszczęścia mam szczęście, a nie stosuję tego do drobnych niepowodzeń nieodłącznych od gospodarstwa. Bo juścić kto hoduje żywe stworzenia, ten musi być przygotowany na różne ich choroby i na upadek. Więc nie nazywam tego nieszczęściem, że czasem zmarnuje się cielę w oborze, że trafi się róża karbunkułowa u trzody, lub cholera u kur, nie liczę niepowodzenia z małemi indyczętami, bo w takich wypadkach wiem co mam robić i jak sobie radzić, ale chcę wspomnieć o prawdziwem nieszczęściu, które wynika właśnie z owego szczęścia do gospodarstwa. Ja się przez to szczęście ożenić nie mogę!

A chciałbym. Bóg widzi, że chciałbym szczerze, bo to i przykrzy mi się tak samemu żyć, i wyręczenia przy gospodarstwie nie mam i jestem w takich latach, w których trzeba się jakoś ustalić, i wreszcie matka namawia, a tymczasem...

Ludzie są zazdrośni, wzięli mnie na języki, solą w oku im to jest, że człowiek z małego kawałka ziemi więcej wydobywa niż kto inny z dużego; nie mogąc więc szkodzić mi w inny sposób, zaczęli mnie ośmieszać przed pannami.

Zdaje się mała rzecz, a przecież nie! Panna wyjdzie za starego, siwego, łysego, gotowa jest nawet w braku lepszego konkurenta, oddać rękę biednemu chłopcu, ale ośmieszonemu nigdy.

Były w naszej okolicy dwie panienki, jedna jak gdyby umyślnie dla mnie na małżonkę stworzona, druga, dobra także dziewczyna, ale już nie w tym stopniu.

Uderzyłem do pierwszej, z własnego popędu, trochę z sentymentu, gdyż była to wspaniała blondynka, mocna, pięknych kształtów, a trochę znów z porady matki, która w poczciwej o mnie troskliwości, powtarzała mi co wieczór:

— Osłem byłbyś, gdybyś jej nie wziął, Jasiu.

Gdybyś nie wziął! Łatwo to powiedzieć, ale wykonać trudno. Bardzo trudno, zwłaszcza gdy się, dzięki złośliwym plotkarzom, ma przezwisko Jasiowej, Janowej, gdy kogoś, bo co tam w bawełnę owijać, nazywają „babą."

Zaślepiony nie brałem tego w rachubę, zacząłem bywać, zacząłem się starać. Raz przywiozłem bukiet z samych lewkonij, raz z samych czerwonych goździków, pod jesień zaś z pełnych astrów kulistych; piękne kwiaty i piękny sentyment, ale nie wieleć to pomogło.

Uważałem, że rodzice niby przeciw mnie nie mieli. Ludzie praktyczni, umieją poznać się na człowieku pracy, zabiegliwym, oszczędnym, pracowitym i nie biednym. Tacy rozumieją przecież, że grosz, czy to osiągnięty ze sprzedaży zboża, czy otrzymany za drób, lub za sery, jest groszem i jednakową ma wartość, ale panny sądzą widocznie inaczej.

Po kilkunastu wizytach, myślę sobie, co będzie to będzie: kapucyn, albo starosta. Oświadczę się.

Jesienny to był czas, właśnie zbiór śliwek. Mieli smarzyć powidła w wielkim kotle na dziedzińcu. Że się na tem znam, więc rozmowa poszła łatwo. Byliśmy przez pół godziny sami. Od śliwek, do powideł, od powideł do kotła, od kotła do ognia, od ognia do miłości. Tak mi się to wywijało, jak z płatka.

Ona uśmiechała się, kiwała głową, widocznie rada była moim słowom.

Widząc, że to idzie gładko, że panna słucha uważnie, powiedziałem co myślę i jakie mam zamiary.

Zaczęła się śmiać... ale jak! Jeszcze mam w uszach ten śmiech pusty, swawolny, wesoły. Tak śmieją się tylko dzieci, kiedy je coś niezmiernie ucieszy i zabawi.

— Dlaczego się pani śmieje? — zapytałem poważnie.

Zarumieniła się i dopiero po dłuższej chwili odrzekła:

— Już się nie śmieję. Dziękuję panu za zaszczyt, ale nie mogę dać odpowiedzi takiej, jak pan sobie życzy, mam bowiem inne zamiary.

— Jakie?

— A cóż to pana obchodzi?

Zacząłem nalegać, prosić, w końcu dała się ubłagać.

— Mam zamiar wyjść.

— Za kogo? — krzyknąłem wściekły z zazdrości.

— Za mężczyznę... — szepnęła z szyderskim uśmiechem.

Tego mi było dość.

Odjechałem z goryczą w sercu, z przekleństwem na ustach, z bólem, z żalem, z rozpaczą.

Rzuciłem się na łóżko w ubraniu, przeleżałem tak do rana, pół we śnie, pół w czuwaniu, zły, zgnębiony, smutny, nie podobny do siebie.

Opowiedziałem tę historyę matce. Posmutniała, kiwnęła głową i rzekła:

— Trudno, mój Jasiu, widać nie było przeznaczenia. Stało się. Nie żałuj. Machnij ręką, uderz do drugiej. Za moich lat często śpiewano w piosence:

„Toć się do rzeki nie rzucę,
Gdzie indziej afekt obrócę."

— Obróć tedy afekt biedaku. Nie jedna Józia na świecie, jedź do Mani.

Mania była ani podobna do tamtej, czarna, wysoka, szczupła, oczy niby dwa ziarnka pieprzu, usta w sznureczek, podobno złośliwa jak osa, ale panienka nie biedna i dość gospodarna, jak mówiono.

Uderzyłem tedy do Mani.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# KILKA SŁÓW
## o smutku, melancholii i stanach pokrewnych
### DUCHA LUDZKIEGO.

Jak się zdaje, leczenie naturalne zastąpi w krótkim czasie wszystkie inne metody traktowania cierpień ludzkich. Nauka większą część dolegliwości i chorób odnosić zaczyna do naruszenia równowagi w systemie nerwowym, i dlatego oddziaływanie na ten ustrój stanowi dzisiaj już, całe niemal zadanie lekarzy nowej szkoły.

Dajcie muzykę waszym nerwom akustycznym w ilości pożądanej—massaż nerwom waszej muskulatury — piękne widoki oku; zapewnijcie płucom powietrze ożywcze, odpowiednie serum krwi, dyetę żołądkowi, a będziecie mieli niewątpliwie człowieka zdrowego. Przedewszystkiem zaś, gdy idzie o umysł ludzki, o jakieś zakłócenia w mózgu jako jego siedlisku, odrzucić należy wszystkie sposoby zalecane przez szarlatanów lub obskurantów, co na jedno zupełnie wychodzi, i przez umiejętne podsycanie tych funkcyj, wywołać pożądaną reakcyą.

Jeśli się tylko zastanowimy jak należy, nad niektórymi objawami życia, wyda nam się taka metoda traktowania cierpień naszego ustroju nerwowego zupełnie naturalną.

Bo czemże jest na przykład nasza chęć do pracy, jeśli nie popędem zużytkowania nagromadzonej energii życiowej?! Człowiek normalny ekspensuje tę energią produkcyjnie — nerwowy na rozdrażnienia i wybuchy.

Czem jest smutek jeśli nie poczuciem swego przygnębienia fizycznego, znużenia umysłu i wyczerpania energii życiowej?

Czem nakoniec radość jeśli nie wylewem nadmiaru tej energii?

Ażeby sobie zdać sprawę ze stanu podniecenia albo rozprzężenia naszych ośrodków nerwowych, wystarczy: zmierzenie tętna, sprawdzenie rytmiczności serca, skonstatowanie prawidłowego lub nieprawidłowego ciśnienia w naczyniach, i obliczenie czerwonych ciałek krwi.

Tak rozumują lekarze szkoły o której mówimy; do takich wyników doszedł znany we Francyi popularyzator nauki lekarskiej doktór M. Fleury. Ogłosił on w „Revue nouvelle" z dnia 15 Sierpnia wyniki swoich badań poświęconych psychologii radości i smutku, i z tych studyów wyjmujemy na użytek czytelnika to co uważamy za ważniejsze.

Jak to powiedzieliśmy wyżej, uważa doktór Fleury, iż smutek jako objaw nie jest niczem innem, jak wyczerpnięciem systemu nerwowego i niejasną świadomością zwątpienia o sile naszego organizmu. Z zupełną też wiarą w trafność swego założenia przechodzi ten uczony od pewnika postanowionego teoretycznie do terapii udręczeń i smutku — terapii równie prostej jak skutecznej, wedle jego mniemania.

Zapewnia przytem z góry, że niedalekim jest czas, w którym smutek chwilowy lub chroniczny, melancholią bez pobudek widocznych, zastój moralny lub umysłowy, pessymizm temperamentu i wiele innych tego rodzaju cierpień leczyć będziemy tak jak katar lub niestrawność, co powinno wierzącym dać otuchę bez względu na to czy są sami cierpiącymi, czy też mają takich w blizkiem otoczeniu swojem.

Jeżeli tedy raz postawimy jako zasadę, że stan radości lub smutku odpowiada stopniowi naszego napięcia nerwowego, to przecież nic prostszego nad przypuszczenie. że oddziaływając odpowiednimi środkami, otrzymamy pożądaną zniżkę lub podniesienie tego napięcia.

Wszakże już dzisiaj przy pomocy manometru możemy oznaczyć w cyfrach, w jakim stopniu nerwowego podrażnienia jest dany umysł w chwilach radości lub pognębienia — dzielności lub upadku na duchu. Co nam tedy przeszkodzi do tego, aby w najbliższym czasie posiadła nauka tajemnicę czysto mechanicznego sposobu podniecania ośrodków nerwowych, i osiągnięcia tą drogą możności wyprowadzania umysłu z rozpaczy do nadziei — z ponurego smutku do łagodnego ożywienia.

Do tego rodzaju zapatrywań na różne chorobliwe nastroje duszy ludzkiej, przyszedł doktór Fleury drogą czysto eksperymentalną i oto przykład z własnego doświadczenia, o którym opowiada on w „Revue nouvelle."

Przed paru laty zdarzyło mu się przyjąć do służby młodą dziewczynę, Bretonkę. Na pierwsze zaraz spojrzenie poznał, że z punktu zapatrywania lekarskiego na jej fizyczność, jest to organizacya uboga, anemiczna i zwątlała. Moralnie biorąc była to natura apatyczna, nadto jako Bretonka oderwana z rodzinnego zakątka cierpiała na nostalgią — zresztą temperament bojaźliwy, czuły na wszelkie wrażenia, przy wyraźnej skłonności do cierpienia piersiowego. Łagodna, posłuszna, nie zdolna zupełnie ani do gestów gwałtownych, ani do popędliwości w słowie.

Kilka dawek żelazistego preparatu przyjęła bez skutku, nie pozostało tedy nic, jak uciec się do środka, którego już nieraz próbował doktór Fleury jako wielce skutecznego, a mianowicie do wstrzyknięć podskórnych serum sztucznego ad hoc sporządzonego, aplikując na pierwszy raz dozę bardzo wysoką.

Przytem powiedział jej:

„Nie zaręczam żeby ci to pomódz mogło. Właściwie nie widzę dla ciebie innego środka, oprócz powrotu do domu, i to ci radzę jako najpewniejsze."

O suggestyi zatem mowy być nie mogło.

Nie upłynęło pół godziny a wrzawa w kuchni oznajmiła doktorowi Fleury że serum działać zaczyna. Dziewczyna uległa, łagodna i bojaźliwa, zmieniła się nagle w furyą prawdziwą, a ponieważ pilnowano jej i wiadomem było, że prócz szklanki mleka nie miała nic w ustach tego dnia, nie mogło to być następstwem niczego, prócz tego preparatu zastrzykniętego.

Był to ustrój nerwowy a wątły, doza przeto okazała się stanowczo za silną, i to co byłoby niewątpliwie organizm potężniejszy wprawiło w stan przyjemnego podniecenia tylko, u niej wywołało nieledwie paroksyzm szału.

Po dwóch dniach ponowiono próbę, ale dozę zmiejszono do połowy. Nie było takich wybuchów gniewu, ale w każdym razie były oznaki zdenerwowania i niecierpliwości — były łzy, śmiech nerwowy, gesta ożywione i głos podniesiony. Wszystko wbrew przeciwnie jak w stanie normalnym.

Po przerwie kilkudniowej nowa próba.

Zmniejszono do połowy ilość płynu i stan jego koncentracyi tym razem. Rezultat okazał się żaden. Nietylko nie osiągnięto ożywienia umysłu, ale nawet okazała się pewna apatya.

Wszystko tedy wskazywało, że doza niezbędna do wywołania rezultatu pożądanego, leżała gdzieś w pośrodku między dwoma dawkami ostatniemi. Jakoż tę dozę wynalazłszy raz, zaaplikował doktór Fleury z najpożądańszym skutkiem. W godzinę po jej użyciu okazał się stan spokoju zupełnego, ale z oznakami siły — było zadowolenie ze spełnionego obowiązku, humor umiarkowanie dobry, a to wszystko nieodłączne od wyrazu twarzy odpowiedniego usposobieniu wewnętrznemu, trwało przez czas dziesięciu godzin.

Jak widzimy, nastrój umysłowy pożądany otrzymać możemy przy pomocy środków natury fizycznej.

Po wielu bardzo tego rodzaju próbach doszedł doktór Fleury do skreślenia obrazu synoptycznego, rozmaitego stopnia naprężenia w czynnościach mózgu, wraz z wykazaniem odpowiednich mu objawów duchowych. Jest to prawdopodobnie szemat tylko, jak utrzymuje sam jego autor, w każdym jednak razie wykazanie bezpośredniego związku między stanem fizycznym i objawami duchowymi, choćby w przybliżonym tylko stosunku, bez znaczenia i interesu być nie może.

Obraz synoptyczny rozmaitych stanów czynności mózgu.

| Ciśnienie arteryalne na manometrze. | Odpowiednie objawy duchowe. |
|---|---|
| 30<br>29 | Atak. Instynkta zbrodnicze. |
| 28<br>27<br>26<br>25 | Szał. Popęd do niszczenia sprzętów i rzeczy martwych. |
| 24<br>23<br>22 | Oburzenie. Odwaga. Dzielność. |
| 21<br>20 | Zdenerwowanie. Łzy. Gesta. Krzyki bez znaczenia, ale znamionujące potrzebę wyładowania energii. |
| 19<br>18<br>17<br>16 | Wesołość hałaśliwa. Ożywienie. Śmiechy. |
| 15<br>14 | Punkt obojętny. |
| 13<br>12<br>11 | Usposobienie łagodne. Nastrój bojaźliwy. |
| 10<br>9<br>8 | Smutek. Znużenie. |
| 7<br>6<br>5 | Ociężałość. |
| 4<br>3<br>2 | Płochliwość. Bojaźń. Lęk. |
| 1<br>0 | Omdlenie. Zanik intelektualny chwilowy. |

Gdyby to jednak prawdą być miało, a nadewszystko gdyby środkami wskazanymi przez doktora Fleury można dowolnie zmieniać nastrój chwilowy, łagodzić albo pobudzać temperamenty, wieleby to na świecie zażegnano burz, wybuchów

i nieporozumień, jaka zapanowałaby harmonia w stosunkach ludzkich, a jakie gwałtowne obniżenie w cyfrze rozwodów!

Wystawmy sobie tylko Sokratesa w jego kłopotach matrymonialnych i wszystkich mu pokrewnych niedolą małżonków naszej ery, uśmierzających przy pomocy pewnego serum burzliwość temperamentu i zmienność humoru swoich towarzyszek dozgonnych, a przyjdziemy do przekonania, że pomnik jaki cierpiąca połowa brzydka rodzaju ludzkiego wystawiłaby doktorowi Fleury, byłby z pewnością najokazalszym z pomników, a nadewszystko najbardziej zasłużonym.

Może istotnie coś podobnego przyniesie przyszłość; jak na teraz wypadnie nam chyba zadowolnić się nadzieją.

*K.*

---

# *Nasi najmłodsi.*

(Ciąg dalszy)

Zwątpienie, pessymizm, rozdźwięki tak głośno, a boleśnie odzywające się w utworach wszystkich niemal młodszych pootów naszych, spotykamy i u Miriama. Ale rozpaczliwe nastroje jego nie są trwałe, gdyż źródło ich nie w potwornym braku wszelakich ideałów, wszelkiej wiary i miłości, jak to ma miejsce u Tetmajera np. lecz w poczuciu niemocy ludzkiej: „Stworzeni do granic, rwiem się i szarpiem, a wszystko to za nic... Czemuż nam dano przeczuć nieskończoność?" i w bólu dojmującym, gdy życie ideałów ukochanych nie urzeczywistnia: „O ideale ty mój wymarzony! O wielka, święta, potężna ludzkości, Gdzież jesteś?... Życie olbrzymiem mordów, rzezi świętem, droga ludzkości — wieczną, czarną nocą, a plemię nasze — plemieniem przeklętem!" Pośród czeredy żądnej użycia, snują się smutne cienie idealistów:

„Szaleńcy, przejdziem bez śladu za to, że pędzimy w dal gdzieś błękitną — ideału jeńcy, za to, że serca nam biją goręcej, że słońce widzim przez powszednie dymy, że prócz igraszki pragniemy coś więcej..."

„A jednak — czyń i miej nadzieję!" — woła poeta, podnosząc się z otchłani smutku i zwątpienia, i w uniesieniu dziękczynnem wyciąga ręce do losu za to, że „poetom dał ofiarny głaz, teraźniejszość zniechęceń i mąk, i wieczysty sen o szczęściu mas "

Wogóle u Miriama silniej brzmią akcenta otuchy lub rezygnacyi, męzkiej, niżeli zrozpaczenia. Zwracając się do braci-poetów, mówi: Gdzie bój— siej miłość, światło — gdzie pomroka" i przejęty do głębi zadaniem swem woła w zapale „O pieśni ma, pobudkę duchom dzwoń!" Wierzy poeta, że choć teorye jedne ustępują miejsca drugim, choć padają po kolei ołtarze, które ludzkość bóstwom swym wznosi, „nigdy nie padną miłość, dobroć, piękno, choć niezbadane i choć tajemnicze, ludy przed niemi po wiekach uklękną," a wreszcie:

„...czy mrok wieczny, czy kiedyś zadnieje —
Błogosławiony, kto umrze szlachetnie!"

Lepiej niż z prac oryginalnych znanym jest u nas Miriam z artystycznych przekładów, rozrzucanych hojnie po różnych czasopismach warszawskich. Jako tłómacz Banville'a, Van Arenbergh'a, Zeyera, Maeterlincka zapoznaje on od lat kilku publiczność naszą z poezyą współczesną Europy. Maeterlincka zwłaszcza utworów, i idei jest tłómaczem zarówno gorliwym jak utalentowanym.

Głębiny tajemnicze, w których lubi pogrążać się sławny już dziś poeta-mistyk pociągają i Miriama. Ulega on prawu, które pięknemi słowy określa sam. „Otchłanie, otchłań pociąga. Obszarów bezkreśnych trzeba tęsknotom bez końca." Dlatego to:

„Po za okręgi przyrodzone świata,
Po za rozumu i zmysłów granice
Chcąc przeczuwaną zbadać tajemnicę
Ludzka myśl wiecznie z niepokojem lata."

Mistycyzmowi swemu prawdopodobnie, temu wyrywaniu się w bezmiar, po za granice zmysłów, zawdzięcza Maeterlinck jedynie, że Miriam stał się tłómaczem jego i popularyzatorem. Artystyczna strona dzieł jego nie pociągnęłaby prawdopodobnie naszego poety; jako artyści bowiem stoją ci dwaj na dwóch przeciwległych biegunach.

Kilka głośniejszych utworów Maeterlincka jak: „Gość nieproszony," Ślepcy," „Siedm królewien," „Pelleas i Melissanda" zebrawszy w jedną całość, zaopatrzył ją Miriam wstępem i komentarzem w formie studyum nad Maeterlinckiem i nowożytną poezyą belgijską w ogólności.

Nawet tych, do których marzenia Maeterlincka nie przemawiają wcale, studyum Miriama zająć musi jako analiza subtelna zjawiska, w którego istotę wniknąć nie łatwo. Wstęp ten jest jedną z najlepszych prac krytycznych, jakie ukazały się u nas w ciągu lat ostatnich. Styl jak zwykle w prozie Miriama świetny, błyskotliwy, giętki, oddający z łatwością wszelkie nastroje, półcienie i półtony stanowi jedną z niepospolitych jej zalet.

Przytoczony poniżej w tłómaczeniu Miriama wiersz Maeterlincka, z pierwszej doby twórczości jego, gdy jeszcze mglistością wyrażeń i przenośni zbliżał się do symbolistów paryzkich, daje wyobrażenie i o tym mało u nas znanym rodzaju, i o trudnościach przekładu, z któremi tylko tak niepospolity talent walczyć może zwycięzko. Wiersz ten nosi wyszukany tytuł: „Roślinność serca."

„Pod kryształowym, modrym dzwonem,
Mej melancholii i znużenia,
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sercu mem znieruchomionem.

Symbolów samych to roślinność:
Rozkoszy smętne nenufary,
Palmy, żądz moich blade mary,
Mchów chłód, omdlała lian bezczynność.

I tylko lilia wznosi w górę
Blada, surowa, wątła, cicha,
Nieruchomego kształt kielicha,
Ponad rośliny te ponure.

A w blaskach, które wokół sieje,
Jak miesiąc smętny, ku kryształom
Błękitnym, marą lekką białą,
Mistyczna jej modlitwa wieje."

Kończąc ten, pośpiesznie rzucony szkic, chciałabym w jednym wyrazie zamknąć charakterystykę twórczości Miriama. Wyraz ten znajduję w nagłówku jednego z sonetów: *Nielicznym*. To *nielicznym* mogłoby mieścić się na czele ogólnego zbioru pism poety. Nie dla maluczkich, nie dla tłumów, nawet nie dla tej średnio wykształconej i oczytanej warstwy, która jest u nas najpoważniejszym odbiorcą strawy umysłowej, nizano te „perełki rymów na rytmów sznury," wiązano słowa w drogocenne cacka artystyczne. Tłum mniej, czy więcej oświecony pożąda poezyj bardziej bezpośrednio, bardziej żywiołowo powstającej.

On u Miriama po za chłodnym, błyszczącym, doskonale oszlifowanym kryształem formy nie domyśli, nie przeczuje się życia. Kryształ pozostanie dlań martwym kryształem.

Mistrzowskim wiązankom słów Miriama nie przechodzić z ust do ust, nie rozlegać się po polach i drogach, nie odzywać echem, nie drżeć w wichru szumach. Jak rzadkim i cennym okazom godzi się spocząć im w muzeum literatury, ku rozkoszy i podziwowi nielicznych, przerafinowanych dusz.

*H. C.*

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

---


# PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOSI:

| w Warszawie | | | na Prowincyi | |
|---|---|---|---|---|
| Rocznie . . . | rs. 4 | | Rocznie . | rs. 5 k. — |
| Półrocznie. . . | rs. 2 | 00 | Półrocznie. | rs. 2 k. 50 |
| Kwartalnie . . | rs. 1 | | Kwartalnie. | rs. 1 k. 2[illegible] |

Adres redakcyi: *Chmielna Nr 26.*

Numer 37 wyszedł z druku i zawiera:

Powrót Nansena (z drzeworytami). — Pogadanki naukowe. — Władysław Nowicki: Listy Ciekawskiego z Wystawy Hygienicznej. — Ś. p. Adolf Pawiński (z drzeworytem). — W imię Boże. — Lekcya francuzkiego, fraszka sceniczna. — Z dalekiego Wschodu (z drzeworytem). — **Michał Synoradzki: Sąd Boży, powieść z czasów Ryszarda Lwie Serce.** — W zaklętem królestwie (z drzeworytem). — Do szkoły, wiersz. — Panna Wanda. — W rozłące. — Odpowiedzi od Redakcyi.— Zadania i łamigłówki.


---

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

---

# M-lle de MOYSARD

*SUKNIE, KOSTYUMY TAILLEUR, AMAZONKI,* 48823 *HORTENSYA 7.*

---

**Wydawnictwo HIPOLITA WAWELBERGA.**

# TRYLOGIA HENRYKA SIENKIEWICZA:

*„OGNIEM i MIECZEM" 2 tomy,*
*„POTOP" 3 tomy,*
*„WOŁODYJOWSKI" 1 tom,*

49011

opuściła prasę w taniem „Jubileuszowem wydaniu."

**Cena wszystkich trzech powieści (6 tomów) w księgarniach:**

w całem Państwie Russkiem **rubli dwa** (rs. 2) w oprawie rubli **trzy.**

Skład główny w księgarni ***Gebethnera i Wolffa w Warszawie.***

---

# Księgarnia, Skład i Wypożyczalnia Nut

ORAZ

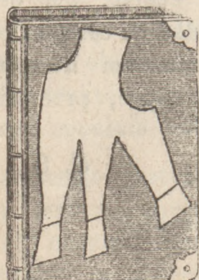
## EKSPEDYCYA PISM PERYODYCZNYCH

## M. ARCTA

***w Warszawie, Nowy-Świat 53 (róg Wareckiej).***

Przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma peryodyczne, gazety i dzieła zeszytowe, wychodzące w kraju i za granicą po cenach ustanowionych przez redakcye. 49111

---



# Pierwszorzędna Szkoła Kroju i Szycia

w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 2,

## K. GŁODZIŃSKIEGO,

wykwalifikowanego nauczyciela specyalisty, który powróciwszy z zagranicy i zwiedziwszy pierwszorzędną stolicę mody, szkoły swoje postawił tak, iż równać się z niemi mogą jedynie pierwszorzędne instytucye zagraniczne; pod względem praktyczności i nowości w wykładach nauki. K. G. opracował i wydał w językach: polskim i russkim **Automat czyli Metodę poglądową** do momentalnego wykrawania i pasowania form różnych fasonów bez pomocy nauki. Ostatnie wydania: najnowsza uproszczona metoda kroju w jęz. polskim i rus. na nowo opracowana, zawiera wzory sukien, wszelkich paltotów i okryć **ostatniej mody paryskiej,** podług których skrojone fasony leżą znakomicie; podręczniki te pod względem uproszczonej nauki i nowości wyprzedziły dotychczasowe zagraniczne. W szkołach K. G. ukończyło naukę przeszło 10,000 osób i prowadzą pracownie i szkoły kroju w Warszawie, Cesarstwie i za granicą. Na kursa uczennice przyjmują się codziennie. **Po ukończonej nauce otrzymują patenta cechowe. K. Głodziński,** nagrodzony **medalami** złotemi i srebrnemi za wzorową naukę i najlepsze podręczniki 49222

---

*Magazyn Bielizny, Ś-to Krzyzka 20,*

## JULII JACKOWSKIEJ

48924

poleca w wielkim wyborze po cenach umiarkowanych **bieliznę: męzką, damską, dziecinną, bluzki, barchany, prześcieradła i ręczniki kąpielowe.** Przyjmuje koszule do wstawiania: gorsów, kołnierzy, mankietów.

---

# NOWOŚĆ! Ważne dla Pań!

Wykwalifikowany majster cechowy zawsze powodujący się sposobami paryskiemi, na podstawach długoletniej praktyki i doświadczeń, wyuczam pięknego kroju zupełnie prostym poglądowym sposobem, na własnego wynalazku figurach i tablicach, z zastosowaniem kroju systemów Francuzkiego, Angielskiego i Wiedeńskiego. Przystępny wykład rozmaitych odmian figur, pasowania staników, amazonek, okryć i t. p. objaśnień **najdokładniej wyuczam w przeciągu miesiąca.** System mój tak ułatwiony, nieznany dotąd ani w kraju, ani za granicą.

***Warszawa, Nowy-Świat Nr 9.*** *E. STAWENO.*

48726

---

**SZKOŁA**

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września

**HORTENSYA Nr 7.** 47‑66

---

# SALON

49311

i trzy pokoje do wynajęcia z całym komfortem umeblowane, przy rodzinie inteligentnej, mogą być na żądanie obiady. Marszałkowska Nr 95, miesz. 4.

---

**Biuro Nauczycielskie**

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazyum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froeblowski **L. Jahołkowskiej.** 48436

---

# Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

# STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

## *Krakowskie-Przedmieście Nr 2.*

***(Wprost Kopernika).***

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

---

Woda Mexico



WSTRZYMUJE *wypadanie* **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.




PUDER WARSZAWIANKA.

Woda Kolońska LUBELSKA Feliksa Warzyńskiego.

13 Tłomackie SKŁAD GŁÓWNY.

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

45616‑2

---

# !WYPRZEDAŻ!

pozostałych towarów z Magazynu

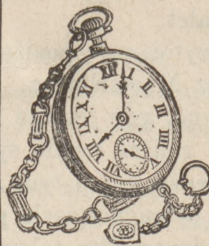
# E. LOTH

jako to: **Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz męzkich wyłącznie słomkowych,** również **Kwiatów** po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy **Nowy-Swiat Nr** 57 (blizko S-to Krzyzkiej).

---

# M. POZZI

poleca najtaniej:



**ZEGARKI i BIŻUTERYĘ,**

494115

przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia.

OBRĄCZKI ŚLUBNE.

Wysyłam za zaliczeniem.

**Nowy-Świat 31.**

---

# Szkoła Prywatna Męzka

**przy ulicy Chmielnej numer 13,**

przygotowywa uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancya dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły

48244 **R. KOWALSKI,**

b nauczyciel szkół rządowych.

---

Nakład J. Błaszkowskiego.

**18 WYDANIE**

NAJLEPSZEJ I NAJWIĘKSZĄ WZIĘTOŚĆ MAJĄCEJ

# NOWEJ METODY

***do nauczenia się łatwym sposobem 4-ch języków***

ruskiego, polskiego, francuskiego i niemieckiego w wokabułach, rozmowach i przykładach, z dodaniem prawideł wymawiania, ułożonych przez ***ELKANĘ*** Cena 53 kop., w oprawie 60 kop.

***Bocquel. Rozmowy*** francusko polskie. Cena rs. 1.
***Bocquel. Rozmowy*** russko-francuskie. Cena rs. 1.
***Dmochowski. Historya święta*** Starego i Nowego Testamentu. Cena kop. 10.
***Sierociński. Gramatyka polska*** mniejsza kop. 10, większa kop. 20.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni M. ARCTA w Warszawie,

**Nowy-Świat 53.** 4‑622

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Сентября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.